

MARIA GĄSIENICA-ZAWADZKA

GNIEM HALNEGO

On nadchodzi. Nadchodzi z siłą,
jakiej jeszcze nie widzieliście.
Ratujcie się, póki możecie...



GNIEW HALNEGO

MARIA GĄSIENICA-ZAWADZKA

GNI EW HALNEGO



OTWARTE

KRAKÓW 2024

Copyright © by Maria Gąsienica-Zawadzka

Copyright © for this edition by Wydawnictwo Otwarte 2024

Wydawca prowadzący: Ewelina Tondys

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja, korekta i łamanie: Atelier 2

Projekt okładki: Paweł Panczakiewicz / PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN

Typografia na okładce: Monika Drobnik-Słocińska

Fotografia na 1 s. okładki: Stefan Kuerzinger / iStock by Getty Images



Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na www.znak.com.pl

*Dedykuję moim Rodzicom, Marcie i Janowi.
Kocham Was*

„Zaś wiatr halny jest to wiatr – wariat, wiatr – furiat,
pijany zwierz, zawalidroga, deliryk z gorącym łbem, żyd
wieczny tułacz, opętaniec, który miejsca sobie znaleźć
nie może na ziemi, ani na niebie, wiatr dantejski.
Urodzi się takie świszczące bydlę gdzieś chyba
w Afryce i nagle ma interes do Zakopanego.
Czy już to samo nie dowodzi jego szaleństwa?”
Kornel Makuszyński, fragment *Listu z Zakopanego* nr X

PROLOG

Gdyby młodszy aspirant Michał Bachleda wiedział, że odebrane tego poranka o ósmej rano połączenie będzie początkiem lawiny zdarzeń, które odmienią los wielu istnień, nie podniósłby słuchawki do ucha z uśmiechem na ustach. Może nawet nie podniósłby jej wcale.

– Komenda Powiatowa Policji w Zakopanem, słucham, w czym mogę pomóc? – rozpoczął rozmowę.

– On nadchodzi. Nadchodzi z siłą, jakiej jeszcze nie widzieliście. Ratujcie się, póki możecie – odpowiedział z powagą kobiecy głos w słuchawce.

– Pani Sabina? – zapytał młody policjant.

– Dobrze wiesz, kto dzwoni! – Tym razem w głosie porzmiewała irytacja. – Nie zadawaj głupich pytań, tylko powiedz ludziom, żeby uciekali!

Michał zakrył słuchawkę dłonią, uśmiechnął się i rzucił do kolegi siedzącego przy sąsiednim biurku:

– Dzwoni Sabina z Gdańska, mówi, że idzie halny i wszyscy mamy uciekać.

- Ta meteopatka wariatka znad morza? - spytał tamten i już bez cienia ironii dodał: - Stuknięta baba, ale trzeba przyznać, że po jej telefonie zawsze wieje. Od ilu już lat ona do nas wydzwania?

- Dokładnie nie wiem, ale mój wujek mi o niej opowiadał, a on nie żyje od dobrych dwudziestu.

- I nikt jej jeszcze nie zdiagnozował?

Michał się roześmiał, po czym powiedział do słuchawki:

- Pani Sabino, bardzo dziękujemy za kontakt i ostrzeżenie. Serdecznie pozdrawiamy z gór i życzymy pani udanego poniedziałku.

- Nie rozłączaj się! - krzyknęła. - Nie rozumiesz?! To nie żarty. On idzie i nie będzie miał litości. Uciekajcie! Widziałam w snach, jak Giewont spływa krwią, a krzyż na jego szczycie płonie. Idzie zniszczenie i chaos, a za nimi kroczy śmierć!

- Pani Sabino, dziękujemy za troskę i ostrzeżenie. Miłego dnia.

Po tych słowach Michał się rozłączył. Z jednej strony znów chciało mu się śmiać, a z drugiej czuł, jak po karku przebiegł mu dreszcz niepokoju. W głosie kobiety wybrzmiewały strach, groza i coś jeszcze. Coś, czego nie umiał nazwać i co słyszał po raz pierwszy.

CZWARTEK

GODZINA 10.00

GRAŻYNA I JANUSZ

Janusz Kowalski kurczowo ścisnął kierownicę swojego dziesięcioletniego samochodu i zgrzytał zębami niemal tak samo jak skrzynia biegów wysłużonego pojazdu. Był kiepskim kierowcą i nie radził sobie z wymagającą zakopianką. Ostatnie pięćdziesiąt kilometrów wypełnione było istną symfonią zgrzytów jego sztucznej szczęki, westchnień towarzyszącej mu naburmuszonej żony i dobiegających z tylnego siedzenia jęków znudzonych nastoletnich bliźniaków.

Od początku tej podróży Janusz próbował wzbudzić w rodzinie entuzjazm, niestety nie udawało mu się to ani teraz, ani wcześniej, po tym jak tydzień temu oznajmił, że zabiera wszystkich na przedłużony weekend do Zakopanego.

Po długich godzinach jazdy wreszcie ujrzeli Tatry. Ośnieżone górskie zbocza odbijały światło słońca i kontrastowały z ciemną linią lasu biegnącą u ich stóp. Choć od celu dzieliło ich jeszcze kilkadziesiąt kilometrów, Janusz dostrzegł, że czubki tatrzańskich szczytów ukryte

są pod ciężką pierzyną z chmur. Zauroczony widokiem powiedział:

– Dzieci, odłóżcie telefony. Grażyna, patrz! Patrzcie i podziwiajcie. Oto one: Tatry!

Janusz promieniał, siedząca obok żona ostentacyjnie westchnęła, a bliźniaki po trzech sekundach znów wbiły wzrok w ekrany smartfonów.

– Patrzcie! Nie mogę uwierzyć. Widzicie ten wał chmur spowijający górskie wierzchołki? To zwiastun halnego. Zawsze marzyłem, aby poczuć jego moc. Czy wy, dzieci, wiecie, czym jest halny? To bóg wiatrów, to władca powietrza, to moc i siła nie z tego świata!

– Janusz, bredzisz – mruknęła żona. – Wiatr to wiatr. Marzę, żeby się położyć i odpocząć. Nie mogliśmy pojechać gdzieś bliżej?

– Mogliśmy – odparł rozczarowany jej reakcją Janusz. – Mogliśmy jechać wszędzie.

Rzucił wzrokiem na żonę i zaczął się zastanawiać, od kiedy zrobiła się taka zrzędliva. Jej twarz była niemal nieustannie wykrzywiona grymasem niesmaku. Dawno temu zakochał się w jej gęstych kasztanowych lokach, zielonych oczach i uroczych dołeczkach w policzkach, teraz widział w jej rysach jedynie dezaprobatę dla wszystkiego, co robił i mówił. Przecież nie zawsze taka była. Pamiętał, jak lubiła się śmiać i snuć odważne plany na przyszłość. Miała w sobie siłę i pewność siebie, która mu imponowała i która napędzała go do działania. Kiedy to utracili?

Tylne siedzenie pojazdu zajmowały dzieci, nastoletnie bliźniaki. Chłopiec miał krótko obcięte włosy i niewielką wadę wzroku, która wymagała noszenia okularów. Dziewczynka nosiła długie, rude, odziedziczone po matce loki, a w uszach błyszczące kolczyki. On nieustannie

był pochłonięty gramami strategicznymi w telefonie, ona cały czas poświęcała na przeglądanie profili ulubionych blogerek.

Janusz w myślach nazywał swoje dzieci straconym pokoleniem. Było mu żal tych wszystkich dorastających nastolatków, którzy nie potrafią funkcjonować bez smartfonów i wi-fi. Był pewien, że gdyby pewnego dnia zabrakło na świecie prądu, wybuchłaby globalna panika, której następstwem byłyby masowe samobójstwa oraz miliony dzieciaków pogrążonych w głębokiej depresji.

Jako ojciec dwójki trzynastolatków próbował walczyć z ich uzależnieniem od wirtualnego świata. Na przykład urządzając rodzinne wycieczki, podczas których starał się zainteresować dzieci otaczającym je światem. Sumiennie przygotowywał się do każdego wyjazdu, wyszukując lokalne i historyczne ciekawostki, którymi okraszał wspólne zwiedzanie. Tym razem również miał ich sporo, dlatego cisza, jaka zapadła po jego ostatnich słowach, nie trwała zbyt długo. Już po chwili, w ogóle nie zwracając uwagi na całkowity brak zainteresowania ze strony towarzyszy podróży, znów się ożywił i rozpoczął wykład na temat wiatru halnego.

- Halny to wiatr typu fenowego. Fen to ciepły i suchy wiatr wiejący z gór w doliny. Powstaje na skutek dużej różnicy ciśnień po obu stronach łańcucha górskiego. Wtedy po jednej stronie gór powietrze się unosi i ochładza, a z pary wodnej powstają chmury, które formują się w charakterystyczny wał. Następnie to powietrze opada, tracąc wilgotność i ocieplając się o jeden stopień Celsjusza na każde sto metrów. Halny to ciepły wiatr, który potrafi wieść z ogromną siłą. Największą jego prędkość zanotowano w maju 1968 roku, wiało wtedy ponad trzysta kilometrów na godzinę.

Jakby na potwierdzenie tych słów w samochód Kowalskich uderzył silny podmuch. Janusz mocniej zacisnął palce na kierownicy i powiedział:

– Poczuliście to? A to dopiero przedsmak tego, co nas czeka w Zakopanem. Halny potrafi łamać drzewa i zrywać dachy z domów, niszczyć, a nawet zabijać. To moc, to żywioł, to potęga natury! Tak marzyłem, by go spotkać, nie wierzę, że już dziś będę miał okazję poczuć jego oddech na skórze. Czy to nie fascynujące?

Nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi, zamilkł i w ciszy rozkoszował się widokiem w oddali. Postanowił, że nikt i nic nie odbierze mu radości z tej wyprawy. Był podekscytowany i szczęśliwy. Nie pamiętał, kiedy ostatnio tak się czuł, i nie zamierzał pozwolić, aby radosny nastrój popsula mu nadąsana mina żony lub znudzone dzieci.

Im bardziej zbliżali się do celu podróży, tym wyraźniej zmieniała się architektura mijanych miejscowości. Potężne wielopiętrowe budynki z apartamentami pod wynajem niemal całkowicie wyparły z krajobrazu drewniane wiejskie chałupy. Białe Dunajec i Poronin nie wyglądały już jak urokliwe podhalańskie wioski, lecz jak zaplecze noclegowe Zakopanego. Pensjonaty, sklepy, stacje benzynowe, wszystko tutaj miało służyć jednemu celowi: przyjęciu i obsłudze jak największej liczby turystów.

Nim Kowalscy dojechali do Zakopanego, Janusz zdążył jeszcze opowiedzieć rodzinie o wpływie halnego na samopoczucie ludzi i zwierząt. Ale nawet wzmianka o zwiększonej liczbie prób samobójczych pośród mieszkańców Zakopanego i okolicznych wiosek nie zrobiła na nikim wrażenia.

– Podobno, gdy zbliża się halny, zakopiańska policja ma ręce pełne roboty – dodał. – Osoby ze skłonnością do nadużywania alkoholu nadużywają go jeszcze bardziej, a rodzinne awantury wybuchają z byle powodu, tak samo

jak uliczne bójki i bijatyki w lokalach. Ludzie są marudni i poirytowani, na wszystko narzekają i dzwonią na komisarjat z byle powodu.

– Janusz, już to wiemy, już nam mówiłeś – przerwała mu w końcu żona. – Skup się na drodze, bo chyba wjeżdżamy do miasta. Całe szczęście, bo tyłek mnie już boli od tego siedzenia. W drodze powrotnej usiądę z tyłu. Ten grat nie nadaje się na takie dalekie podróże. Czy to już na pewno Zakopane? A gdzie są te urokliwe góralskie chałupy, o których nam wczoraj opowiadałeś?

– Nie wiem, prowadzę auto, rozejrzyj się, to na pewno je zobaczysz.

– Po prawej widzę jakieś szklane szkaradztwo, a po lewej bloki.

Janusz westchnął i powiedział:

– Po obiedzie zabiorę was na ulicę Kościeliską, tam zobaczycie starą, zabytkową zabudowę, a teraz pozwól mi się skupić na drodze.

Kiedy przejechał pierwsze rondo, przez jezdnię tuż przed maską samochodu przebiegł czarny kot.

– Janusz, stań! – krzyknęła Grażyna.

– Tutaj? Po co? – Nie wcisnął pedału hamulca, co spowodowało, że Grażyna huknęła na niego jeszcze głośniej:

– Jak mówię „stań”, to masz stanąć! Czego nie rozumiesz? Nie widziałeś tego kota? Gdybyś się zatrzymał, auto z naprzeciwka przejechałoby pierwsze, a teraz pech będzie nasz.

– Matko jedyna, Grażyna, nie przesadzasz?

– Nie, nie przesadzam! Czarny kot to czarny kot! Cokolwiek się teraz wydarzy, to będzie twoja wina! Trzeba było stanąć.

Janusz nic nie odpowiedział. Czasem nawet jemu brakowało argumentów. Nie miał pojęcia, skąd u żony to

przywiązanie do przesądów. Z jednej strony chciała uchodzić za kobietę nowoczesną, a z drugiej wychodziła z niej zacofana, małomiasteczkowa, zabobonna baba. Klóćąc się o nieszczęsnego kota, minęli drugie rondo, a następnie po pokonaniu jeszcze kilku ulic i skrzyżowań dojechali do miejsca, gdzie kończyła się droga asfaltowa, a zaczynała brukowana, wąska dróżka biegnąca przez las. Po przejechaniu nią kilkuset metrów dotarli w końcu do pensjonatu, w którym mieli zarezerwowany apartament.

– Co za dziura – skomentowała Grażyna.

Janusz miał ochotę powiedzieć, że dziura, w której oboje się urodzili i wychowali, była o wiele mniejsza niż Zakopane. A teraz Grażyna odstawia panią z wielkiego miasta.

Pensjonat Pod Smrekami wyglądał okazale i robił wrażenie. Otaczające go wysokie świerki przy delikatnych na razie powiewach wiatru lekko kłaniały się przybyszom. Na dużym, wysypanym żwirem parkingu stały zaledwie trzy samochody. Był marzec, czyli okres przestoju. Na stronach i forach turystycznych, które Janusz odwiedził, przygotowując się do tej wyprawy, wszyscy zgodnie twierdzili, że to jeden z tych miesięcy, kiedy w Zakopanem nie ma korków ani tłumów turystów na szlakach i Krupówkach. Był to również miesiąc promocji i obniżonych cen, dzięki czemu niezbyt zamożna rodzina Kowalskich mogła sobie pozwolić na pobyt w tym komfortowym pensjonacie.

Gdy tylko wysiedli z samochodu, Janusz postanowił udzielić rodzinie podstawowych informacji na temat lokalnej architektury:

– Spójrzcie na ten budynek. To przykład stylu zakopiańskiego zdefiniowanego pod koniec dziewiętnastego wieku przez Stanisława Witkiewicza. Do najbardziej charakterystycznych cech tego stylu zalicza się widoczna tutaj

wysoka, kamienna podmurówka, ułożone na zrąb płazy oraz skośny dach pokryty gontem...

– Janusz, na miłość boską! – przerwała mu Grażyna usiłująca związać włosy rozwiane przez wiatr. – Możesz już skończyć wykład? Ten halny zaraz całkiem rozwali mi fryzurę! Jak będzie tak wiało cały weekend, to ja chyba oszaleję! Bierz walizki i chodźmy do środka!

Mówiąc te słowa, odwróciła się i niosąc pod pachą tylko torebkę, ruszyła w stronę drewnianych drzwi, nad którymi wisiał duży szyld z napisem „Witajcie”.

Janusz posłusznie wyjął z bagażnika dwie duże walizki, podał bliźniakom ich plecaki i podążył za żoną.

Wnętrze pensjonatu przywitało ich ciepłem i zapachem wszechobecnego drewna. Bogato rzeźbione meble i liczne zdobienia robiły wrażenie. Na prawo od drzwi wejściowych znajdowało się lobby z wygodnymi fotelami i stolikami kawowymi, a po lewej stronie ściana z dwójgim drzwi. Jedne prowadziły do restauracji, a drugie do baru. Przestrzeń pomiędzy nimi zdobiło piękne malowidło przedstawiające stado kozic na zboczu górskiego szczytu. Ściana kończyła się długim korytarzem, najpewniej prowadzącym na zaplecze. Na wprost drzwi wejściowych znajdowała się recepcja. Duża, wysoka lada oddzielająca gości od personelu cała była z drewna, a jej front zdobiła kuta metalowa parzenica wielkości znaku drogowego. Uwagę Janusza zwrócił masywny mosiężny dzwonek leżący po lewej stronie lady, przypominający mu sceny ze starych filmów. Grażyna stała i niecierpliwie raz po raz uderzała otwartą dłońią w stylowy gadżet.

– Czy ktoś tutaj pracuje? – rzuciła w stronę pustej recepcji.

– Spokojnie, usiądź, na pewno zaraz ktoś przyjdzie – powiedział Janusz, stawiając ciężkie walizki z boku

masywnej lady, tuż obok schodów prowadzących na wyższe kondygnacje.

Jak na życzenie za drewnianym kontuarem zjawił się niewysoki chłopak z jasnymi włosami gładko zaczesanymi na prawą stronę. Miał na sobie haftowaną, śnieżnobiałą góralską koszulę i czarne spodnie. Gdy tylko ujrzał nowych gości, na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech, a z ust wyposażonych w idealne proste zęby popłynęły słowa:

– Witam państwa serdecznie w pensjonacie Pod Smrekami. Państwo z drogi czy z rezerwacji? – zapytał.

– Nie rozumiem, o co panu chodzi – odparła rozdrażniona Grażyna.

– Miałem na myśli to, czy państwo macie u nas rezerwację, czy nie.

– A, to w takim razie z rezerwacji – szybko powiedział Janusz.

– Bardzo mi miło, już się państwem zajmujemy. Na jakie nazwisko jest rezerwacja?

– Grażyna i Janusz Kowalscy, mamy zarezerwowany dwupokojowy apartament.

Grażyna zauważyła, że uśmiech na twarzy młodego mężczyzny zrobił się jeszcze szerszy.

– Państwo Grażyna i Janusz Kowalscy – powtórzył i dodał: – Tak, zgadza się. Czy mogłaby pani jeszcze uprzejmie podać mi imiona dzieci?

– Oczywiście. Adam i Ewa.

Recepcjonista podniósł wzrok i na nią spojrzał. Teraz już wyraźnie widziała, że był rozbawiony, a jego białe, równe zęby szczyrzyły się do niej w całej okazałości.

– Pana coś bawi? Powiedziałam coś zabawnego? – zapytała najbardziej oficjalnym tonem, na jaki mogła się zdobyć.

– Nie, oczywiście, że nie – odparł, spuszczać wzrok. – Proszę, oto klucze do apartamentu. Już wołam portiera, który zaprowadzi państwa na odpowiednie piętro i pomoże z walizkami. Panie Władku! – krzyknął w stronę pustego korytarza.

Grażyna zauważyła, jak chłopak usilnie stara się zachować powagę i jak zaciska szczęki, żeby nie pozwolić sobie na wybuch śmiechu. Poczowała wzbierającą w niej złość.

Po krótkiej chwili zjawił się pan Wladek, wysoki, chudy mężczyzna o przekrwionych oczach i nieświeżym oddechu wskazującym, że poprzedniego wieczoru sobie popił. Za lewe ucho miał zatkniętego papierosa.

– Ka mom wzionć te walizki?

– Panie Władku, drugie piętro, apartament numer dwaście – powiedział recepcjonista, po czym zwrócił się do gości: – Życzę państwu udanego pobytu. Obiad podajemy od czternastej do osiemnastej. Jadalnia jest za pierwszymi drzwiami po państwa lewej stronie. I bardzo prosimy o dokładne zamykanie okien przed opuszczeniem pokoi. Halny dopiero przybiera na sile.

– Będziemy pamiętać i bardzo panu dziękujemy – odpowiedział Janusz i ruszył za chudzielcem Władkiem.

Grażyna jeszcze przez chwilę stała i patrzyła na recepcjonistę, mrużąc oczy, jakby chciała coś sobie z nim wyjaśnić. Jej wąskie usta pozostały jednak zamknięte. Nim odeszła, przechyliła się przez ladę, aby dojrzeć plakietkę z imieniem, którą młodzieniec miał przypiętą do białej koszuli. Litery na kawałku plastiku układały się w imię AREK. Powtarzała je sobie przez całą drogę do pokoju, tak na wszelki wypadek, żeby wiedzieć, na kogo będzie się mogła poskarżyć, jeśli ten młody człowiek jeszcze raz pozwoli sobie na jakąkolwiek złośliwość lub nieuprzejmość w stosunku do niej lub jej rodziny.

Gdy tylko drzwi apartamentu otwarły się przed rodziną Kowalskich, Grażyna udała się wprost do łazienki. Janusz odstawił na bok walizki i rozejrzał się. Wnętrze było przestronne i urządzone w stylu góralskim. Sosnowe, rzeźbione meble pachniały nowością. Piękna wełniana narzuta otulała wielkie małżeńskie łóżko, a na nocnych szafkach leżały czekoladki w kształcie malutkich oscypków. Ściany ozdobione były grafikami przedstawiającymi górskie pejzaże. Na pierwszy rzut oka było widać, że jeszcze niewielu gości miało okazję korzystać z usług tego pensjonatu.

Janusz podszedł do okna. Był zauroczony widokiem, jaki ukazał się jego oczom. Pensjonat stał na działce tuż pod regłami, a widoku z okna nic nie zasłaniało. Zupełnie jakby cały świat został po drugiej stronie budynku, a po tej rozpościerała się dziewicza, przez nikogo nieodkryta kraina. Masyw Giewontu, mimo iż nie był widoczny w całości, robił ogromne wrażenie. Jego czubek, otulony pierzyną z chmur, wyglądał bardzo tajemniczo. Rozciągający się u stóp góry las szumiał i kłaniał się obserwatorom przy każdym mocniejszym powiewie halnego. Janusz czuł się tak, jakby był w teatrze i siedział w łoży honorowej z najlepszym widokiem na spektakl.

Tymczasem Grażyna nie mogła przestać myśleć o rozbawieniu i uśmieszku Arka. Była pewna, że w chwili, gdy podała mu do zameldowania ich imiona i nazwisko, ledwo powstrzymał się od parsknięcia. Co za brak szacunku!

Gdy tylko wyszła z łazienki, rozpakowała walizki, poszła sprawdzić, jak poradziły sobie z bagażami bliźniaki, a kiedy wróciła, stanęła obok męża, który wciąż podziwiał widok z okna. Spojrzała tam, gdzie on.

Najpierw w nieskazitelnie czystej szybie ujrzała odbicie Janusza. Był odrobinę niższy od niej, ale to nigdy jej nie

przeszkadzało. Natomiast od kilku lat nie mogła przyzwyczaić się do jego łysiejącej głowy. Ilekroć na nią patrzyła, widziała tylko dwa ogromne zakola, które zawsze przypominały jej o upływającym czasie i nieuchronnym starzeniu się. Dlatego lubiła, gdy zakładał czapkę lub kapelusz, a ona mogła sobie wyobrazić, że pod nakryciem głowy wciąż znajduje się bujna czupryna, którą miał za młodu.

Westchnęła i przebiła się wzrokiem przez szybę, nie zobaczyła jednak ani gór, ani lasu. W przewalających się przez szczyt Giewontu chmurach ujrzała rozbawioną twarz recepcjonisty. I mogłaby przysiąc, że przez krótką chwilę, dosłownie przez mgnienie oka, za tą twarzą przemknął ogon czarnego kota.

GODZINA 12.00

LOLEK

Lucjan Puławski stał na drewnianym mostku nad Folszowym Potokiem, tam gdzie zbiegają się Krupówki oraz ulice Piłsudskiego i Staszica. Wyglądał niczym statua Chrystusa w Rio de Janeiro, z rozpostartymi ramionami, lekko pochyloną głową i wzrokiem skierowanym na przechodzących obok i przypatrujących mu się ludzi.

Ubrany był we frak, a na głowie miał najprawdziwszy czarny cylinder, spod którego wystawały długie włosy. Siwe kosmyki tańczyły na wietrze i raz po raz przesłaniały mu oczy koloru kostki granitowej. Odgarniał je wtedy niezgrabnie starymi, pomarszczonymi dłońmi, częściowo chronionymi przez rękawiczki bez palców. Szara, sięgająca linii obojczyków broda unosiła się i opadała w rytm podmuchów wiatru, podobnie jak poły szykowego fraka.

Mieszkańcy Zakopanego znali Puławskiego i mijali go obojętnie, a nieliczni turyści zatrzymywali się i robili mu zdjęcia, które od razu wrzucali na swoje profile społecznościowe z podpisami w rodzaju „Wariat na tle Tatr”.

Ale Lucjan nie był wariatem. Był po prostu człowiekiem, któremu w życiu nie wyszło. Zakopiańczycy nazywali go zdrobniale Lolek i był dla nich lokalnym wiatrowskajem. Wyczuwał nadejście wiatru halnego już kilka dni przed zapowiedziami meteorologów. Kiedy pojawiał się na mostku odziany w swój niecodzienny strój, wszyscy wiedzieli, że będzie wiało.

Lolek był bezdomny i pomieszkiwał to tu, to tam. Przez większą część roku nocował w którymś z zakopiańskich pustostanów. Zwykle były to stare drewniane domy, które właściciele pozostawiali, aby niszczały i popadały w ruinę. Działo się tak z reguły wtedy, gdy budynek był wpisany do rejestru zabytków i wyremontowanie go wymagałoby zbyt wiele zachodu, pozwoleń i pieniędzy. Sposobem na pozbycie się takiego domu i odzyskanie działki, często położonej w atrakcyjnym miejscu miasta, było przyspieszenie jego „śmierci naturalnej” poprzez całkowite zaniebdanie. Bardziej drastyczną i ryzykowną metodą pozbycia się problematycznej nieruchomości było podpalenie. W takich właśnie przybytkach najczęściej pomieszkiwał Lucjan, w miesiącach zimowych drżąc nie tylko z zimna, ale i ze strachu o własne życie.

Lolek pojawił się na mostku już w poniedziałek, po tym jak obudził się o czwartej rano i poczuł, że halny go wzywa. Z papierowej torby wyjął czarny frak i gdy tylko go przywdział, udał się do centrum miasta, gdzie pełnił swoją wartę tak długo, jak starczyło mu sił w nogach. Czuł, że to ważne i że powinien tam być.

Na co dzień był spokojny, cichy i bardzo uprzejmy. Dorabiał, wyprowadzając psy, odśnieżając chodniki lub grabiąc liście. Trwał na przekór wszelkim przeciwnościom losu i nie radził sobie jedynie wtedy, gdy wiał halny – jakby wiatr miał nad nim władzę. Nadchodził, brał Lolka

w posiadanie, przejmował nad nim kontrolę, jak lalkę ubierał go w znoszony frak i jak lalkę stawiał na drewnianym mostku.

Tego dnia po Krupówkach snuło się niewielu turystów. Większość przechodniów stanowili zakopiańczycy zmierzający do pracy, na zakupy lub coś załatwić. Jedynie od czasu do czasu pojawiali się pojedynczy spacerowicze. Łatwo było ich rozpoznać po wolnym kroku i po tym, że rozglądali się wokół w poszukiwaniu kawiarni, restauracji albo sklepu z odzieżą sportową.

Tuż po dwunastej przed Lolkiem zatrzymała się para młodych ludzi.

- Patrz, jaki śmieszny gostek - powiedział chłopak. - Stań przed nim, zrobię ci fotkę.

- Ale czad, to chyba jakiś wariat, zobacz, jak jest ubrany. Szkoda, że stoi w tym miejscu, zasłania widok na góry.

- Nieważne. Idź tam. Zobaczysz, ile dostaniesz lajków na fejsie.

Dziewczyna podeszła do mostka i wypinając biust i pupę, przyjęła jedną z póz, którą blogerki polecały jako szczególnie uwydatniającą figurę. Usta lśniąca od różowego błyszczyka ułożyła w dziubek.

- Myślisz, że można go poprosić, żeby zszedł na chwilę? To zajebista miejscówka na selfika - powiedziała, gdy zdjęcie zostało już zrobione.

Weszli na mostek i chłopak powiedział do Lolka:

- Hej, dziadku, posuń się trochę, chcemy zrobić sobie tutaj fotę.

Lucjan nawet na niego nie spojrział.

- Głuchy jesteś? - warknęła dziewczyna, dotykając jego łokcia.

Starzec drgnął, przymknął oczy i przemówił:

- Za winy będzie kara, nie ma nieba dla grzeszników.

Zniecierpliwiony chłopak położył mu dłoń na ramieniu i próbował przepchnąć go na bok.

– Ej, ty! Co mu robisz?! – usłyszał nagle za plecami stanowczy głos. – Zostaw go w tej chwili, gówniarzu!

Przed mostkiem stała postawna kobieta z wielką torbą na ramieniu. Ściągnięte brwi i zaciśnięte mocno wąskie usta manifestowały dezaprobatę. W prawej dłoni trzymała smycz, na końcu której stał dumnie owczarek niemiecki.

– Powiedziała, zostaw go! – powtórzyła.

– My tylko chcieliśmy zrobić sobie tutaj zdjęcie – próbowała uspokoić ją dziewczyna. – Prosiłiśmy grzecznie, żeby się posunął, ale on nie reaguje.

– To nie daje wam prawa, żeby go popychać. Jak wieje halny, to jest jego mostek. Przyjdźcie sobie robić zdjęcia, jak przestanie wiać. No już! Schodźcie!

Stojący dotąd spokojnie pies wyczuł napięcie i podenerwowanie swojej pani, sierść na jego grzbiecie się zjeżyła, a z pyska wraz z odrobiną śliny wydobyło się złowieszcze warknięcie.

– Bo co? Poszczuje mnie pani tym kundlem? Piękna ta wasza góralska gościnność – odgryzł się chłopak.

Kobieta przewróciła oczami, wyjęła z torebki telefon i powiedziała:

– Mówię ostatni raz. Schodź albo dzwonię na policję.

Dziewczyna spojrzała na partnera błagalnym wzrokiem.

– Łukasz, chodź. Ja już nie chcę tego zdjęcia. Chodźmy do maka. Zostawmy tych wariatów.

Ociągając się i zgodnie wykrzywiając usta w szyderczym uśmiešku, młoda para wreszcie ruszyła w stronę Gubałówki. Kiedy zniknęli kobiecie z oczu, podeszła do Lucjana.

– Lolek, wszystko w porządku? – zapytała.

Skinął głową.

– Jadłeś coś dzisiaj?

Pokręcił głową. Sięgnęła do dużej torby i wyjęła drożdżówkę.

– Masz, kupiłam sobie do kawy, ale tobie bardziej się przyda.

Wyciągnął zgrabiałe dłonie po zawiniątko i uśmiechnął się, ukazując zepsute i nieliczne zęby.

Kobieta oparła się o drewnianą balustradę i patrząc gdzieś w dal, ponad głowami przechodniów, zaczęła mówić:

– Teraz to już nie to samo, co kiedyś. Czasy inne, ludzie inni, turyści inni. Ty pewnie, Lolek, nie kojarzysz, ale ja tu całe życie mieszkam i mam z nimi do czynienia. Kiedyś to byli goście. Prawdziwi turyści. Przyjeżdżali głównie po to, żeby w góry pochodzić. Z plecakiem i głową pełną marzeń o tatrzańskich wierzchołkach. Wynajmowali pokoje i nie narzekali na brak wygód. Bo nie po wygody tu przyjeżdżali, ale po przygodę. A teraz? Przyjeżdżają tacy jak ci, co ich przegoniłam. Dziady, nie turyści. Chodzą tylko po Krupówkach tam i z powrotem, od sklepu do sklepu, od baru do baru. Ech, Lolek, jak ja bym czasem chciała sprzedać to wszystko w diabły i wyjechać, byle dalej stąd.

Zawiesiła głos, jakby szukała w myślach miejsca, do którego chciałaby uciec. Lolek prawie niezauważalnie kiwał głową, ale nie było wiadomo, czy przytakuje słowom kobiety, czy słowom, które halny szepcze mu do ucha.

W pewnej chwili stojący u boku kobiety pies złapał ją zębami za spódnice.

– Benek, nudzisz się piesku, a pańcia się zagadała. Już idziemy do domku – powiedziała pieszczotliwym głosem.

Na słowo „idziemy” pies zamerdał wesoło ogonem i liznął jęzorem dłoń pani. Kobieta spojrzała na Lucjana i rzuciła na odchodnym:

– Uważaj na siebie i nie daj sobie zrobić krzywdy. Jak coś się będzie działo, to krzycz. Przecież wszyscy cię tu znają, zawsze ktoś ci pomoże.

Włożyła mu jeszcze do kieszeni dwudziestozłotowy banknot.

– To na pierogi w Grocie – szepnęła.

Odprowadził ją wzrokiem wdzięcznego dziecka, które właśnie dostało od ukochanej ciotki wielki lizak. Podwijając poły fraka, usiadł na schodku, zjadł drożdżówkę i poczuł przypływ nowych sił. Strzepnął okruszki jagodzianki z siwej brody, wstał, wrócił na swój posterunek i jak ptak, który pragnie wzbić się do nieba, znów rozpostarł ramiona.

Czas płynął powoli, a halny wiał i psocił niczym szkolny łobuz. Zerwał plakat przyklejony kawałkiem taśmy do słupa, wyrwał dziecku z rączki kolorowy balonik w kształcie Myszki Miki i uniósł go ponad dachy kamienic. Bawił się włosami przechodniów, szarpał chustami i szalikami, zaglądał paniom pod spódnice. Uderzał papierkami w szyby kawiarni i wystawy sklepów, turlał po kostce brukowej aluminiowe puszki po piwie. Wyrwał ludziom chusteczki, gdy chcieli wysiąkać nos, i banknoty, gdy usiłowali zapłacić straganiarzom za oscypki. Psocił i dokuczał, drażnił i prowokował. I wciąż nieustannie szeptał Lolkowi do ucha.

Gdy minęła trzynasta, ruch na deptaku nieznacznie się ożywił. Dzieci wracały ze szkół, młodzież zbierała się w niewielkich grupkach, żeby omówić swoje sprawy, a nieliczni turyści szukali miejsca, gdzie mogliby wypić kawę lub zjeść wczesny obiad.

Halny wciąż harcował i czynił kolejne psikusy. Gdy ujrzał kobietę z burzą kasztanowych loków na głowie, nabrał głęboko powietrza i dmuchnął z całych sił. Mocna gumka w kolorze limonki ledwie utrzymała włosy w ryzach.

– Co za koszmar! – warknęła kobieta. – Chodźmy gdzieś usiąść, zanim w moich włosach zamieszkają wszystkie śmieci z tej ulicy!

– Grażyna, spokojnie, zaraz będziemy na miejscu, już niedaleko jest ta cukiernia, o której wam opowiadałem – odparł towarzyszący jej mężczyzna. – Podwórko to podobno jedno z kultowych miejsc w Zakopanem. I uwaga: jedyna lodziarnia, gdzie mają prawdziwe lody różane.

– Lody? Naprawdę chcesz iść teraz na lody? W marcu?! Janusz, czy ty już całkiem rozum postradałeś?!

– Lody różane! Lody różane! My chcemy lody różane! – wykrzyknęły dzieci.

Grażyna machnęła ręką na znak, że się poddaje, jakby było jej już wszystko jedno, byleby znaleźć się w jakimś pomieszczeniu, gdzie ten nieszczęsny wiatr przestanie sypać jej w oczy wszystkim, co leży na ulicy.

– Oby mieli tam mleko bez laktozy – mruknęła.

– Mamo, patrz, kto to? – zapytał nagle Adaś, wskazując palcem Lolka.

– Dziecko, ile razy mam ci powtarzać, że nie pokazuje się nikogo palcem? – zwrócił mu uwagę Janusz. – To niekulturalne.

Rodzina Kowalskich zatrzymała się koło mostka. Patrzyli na Lucjana jak na atrakcję turystyczną, jak na pomnik lub rzeźbę.

– Ale cudak – skomentowała Ewa, robiąc Lolkowi zdjęcie smartfonem.

– Nie taki jak ty – dogryzł jej brat.

– Odwal się.

– Dzieci, spokój. Zachowujcie się i odzywajcie się do siebie z szacunkiem – upomniał je ojciec. – Nie ma na co patrzeć. To pewnie jakiś biedak niespełna rozumu. Nie gapcie się. Idziemy dalej.

Niespiesznie ruszyli do lodziarni i dopiero po dłuższej chwili zauważyli, że nie ma przy nich Grażyny.

– Mamo?! – zawołała Ewa, rozglądając się niespokojnie.

Ale matka jej nie słyszała. Wciąż stała, nie mogąc oderwać wzroku od tej dziwnej postaci. Grażyna i Lolek patrzyli sobie w oczy, jakby połączyła ich jakaś niewidzialna więź.

Kobieta jak zahipnotyzowana weszła na mostek i stanęła twarzą w twarz z Lucjanem, a on wyciągnął do niej dłoń. Powoli, jak na filmie w zwolnionym tempie, podniosła rękę. Gdy opuszki ich palców się zetknęły, Lolek przymknął oczy i przemówił:

– Matka wygnańców z raj. Posiadł ją. Spojrzenia. Słowa. Strach. Złość. Udręka. Dzwon. Cichnie. Gaśnie. Wina. Kara.

Grażyna sprawiała wrażenie, jakby straciła kontakt z rzeczywistością. Jakby na chwilę została opętana przez moc nie z tego świata. Miała nieobecny wzrok, usta się poruszały, ale nie uleciało z nich żadne słowo. Wiatr wiał jej w twarz i wnikał w każdą komórkę ciała.

Z odrętwienia wyrwało ją dopiero szarpnięcie i głos Janusza:

– Na miłość boską, co ty robisz?! Nie dotykaj go! Chodź już. Co on mówi?

– Nie wiem. Nie wiem. Nic z tego nie rozumiem – szepnęła, przywołana do teraźniejszości i rzeczywistości Grażyna.

Janusz wziął ją pod rękę i ciągnąc w stronę dzieci, dodał:

– Chodźmy już do tej kawiarni, może cukier ci spadł, wyglądasz na osłabioną. Co ty tam wyprawiałaś? Może ten wiatr namieszał ci w głowie? Czytałem, że halny wyczyinia z ludźmi różne dziwne rzeczy. Może jesteś podatna?

Grażyna pokiwała głową i pozwoliła poprowadzić się mężowi jak dziecku, które zgubiło się w ciemnym lesie.

Lucjan patrzył na ich oddalające się sylwetki, dopóki całkiem nie zniknęły mu z oczu. Miał wrażenie, że coś się zaczęło. Jakby przed chwilą odhaczył pierwszy punkt z długiej listy spraw do załatwienia. Za nic nie mógł jednak sobie przypomnieć, jakie są kolejne punkty z tej listy. To myślenie go zmęczyło, usiadł więc na schodkach i opierając głowę o drewnianą balustradę, zasnął.

Śnił o swoim dawnym życiu i o rodzinie, którą utracił. Znow był młodym mężczyzną, studentem filozofii na Uniwersytecie Jagiellońskim. Chodził na wykłady, pisał rozprawy, zaczytywał się w greckich filozofach i prowadził ożywione dyskusje z kolegami z roku. A potem znow ujrzał ją po raz pierwszy. Swoją przyszłą żonę. Znow się w niej zakochał i raz jeszcze przeżył pierwszy pocałunek. Pocałunek o smaku leśnych malin. Wszystko było takie nowe, jakby nie wydarzyło się nigdy przedtem. Lolek uśmiechał się przez sen, a halny delikatnie głaskał go po twarzy i tulił w ramionach, zsyłając kojące sny. Sny, które miały go ukoić i przynieść zapomnienie.

Gdy obudził się kilkanaście minut później, wróciła szara rzeczywistość, a uśmiech ustąpił miejsca zmęczeniu. Przypomnił sobie o dwudziestozłotowym banknocie, który miał w kieszeni. Podniósł się i wolnym krokiem ruszył w dół Krupówek. Niczego nie pamiętał z wydarzeń tego dnia. A po chwili nie pamiętał też już nic ze snu. Zjadł talerz pierogów w barze mlecznym Grota, wrócił na mostek i pozostał na warcie do późnego wieczoru.